



## CIOZIA FRIEDA

Miałam taką ciotkę Friedę. Właściwie, gdyby tak na serio wziąć pod uwagę więzy krwi, to wcale nie była ona moją ciotką. Ale była mi bardzo bliska i strasznie ważna dla mnie i całkiem sporej gromadki dzieci w kilku pokoleniach mojej bliższej i dalszej rodziny. Ciozia Frieda mieszkała po wojnie w domu mojej Mamy. Cierpiała na postępujący paraliż. Choroba zaczęła się tamtej zimy 1945 r., podczas ucieczki ze Śląska. Jak się ta choroba nazywała, tego się nigdy nie dowiedziałam. Nie było to zresztą takie ważne. Ważny i smutny był fakt, że ciozia Frieda z roku na rok, coraz mniej mogła się poruszać. Najpierw mogła jeszcze chodzić kuśtykając, później mogła trochę postać, jeśli miała się o co oprzeć, aż w końcu już tylko siedziała na wózku. Przez jakiś czas była w stanie jeszcze coś ugotować czy wykonać inne drobne czynności w domu. Lubiła gotować dobre, stare, proste, wiejskie, śląskie potrawy. Jak byłam już trochę starsza, ciozia lubiła, gdy wpadałam do kuchni i próbowałam jej sosu. Lubiłam wtedy dodawać do niego coś ostrzejszego. Ciozia śmiała się z tych nowych wersji jej śląskich sosów. *No dobra, chichotała, dzisiaj lubi się trochu inne.*

Gdy ciozia Frieda jeszcze chodziła, byłam małą dziewczynką. To było zaraz po wojnie. Po pewnych perypetiach po swojej i naszej ucieczce ze Śląska wylądowała ostatecznie u nas. Sama została na tym świecie po zawierusze wojennej, a moja Mama pilnie potrzebowała kogoś, kto przypilnowałby naszej czwórki, kiedy ona pracowała. I tak ciozia przyszła do nas, zamieszkała z nami w baraku, naszym

domostwie w Velbert, między starą fabryką śrubek a wysypiskiem śmieci. Sytuacja życiowa wszystkich była trudna, ale już nie beznadziejna. Ciozia Frieda wycierała nasz zasmarkane nosy, śpiewała głośno i żarliwie, kąpała nas w soboty w kuchni, w cynkowej wannie,



Tam mieszkaliśmy razem z ciotką Friedą od r1947 do r1950

szorując szarym mydłem (prawdziwy skarb w tamtym czasie!) zmywała z nas brud z wysypiska, w radosnych chwilach grała na ustnej harmonijce (umiejętność, której, podpatrując, nauczyłam się od niej), wykrzykiwała ku niebu załamując ręce, gdy jej nie słuchaliśmy, ale nigdy nie była naprawdę zła, potrafiła sprawić, by plama, która sama się zrobiła na mojej jedynej niedzielnej sukience, zniknęła, jeszcze zanim Mama ją w ogóle zauważyła... Ciocia Frieda pomagała wyjść nam cało ze wszystkich dziecięcych opresji.



Ciocia Frieda była ze Sułowa, tak jak my. Właściwie to była ona jeszcze bardziej ze Sułowa niż my. Urodziła się tam i dorastała, podczas gdy moi rodzice przenieśli się tam z Wrocławia z powodów zawodowych. Ciocia Frieda była właściwie jedyną rodowitą pra-Sułowianką, jaką znałam. Wszystkie staro-sułowskie historie jakie znam, usłyszałam od cioci. Historie, które opowiadała trochę z nostalgią, trochę łobuzerskim tonem, zawsze z takim lekko bulgoczącym chichotem w głosie. Lubiłam jej słuchać i to nie dopiero wówczas, gdy już jako dorosła ponownie nawiązałam kontakt ze starym, dobrym miasteczkiem Sułów. Dla mnie jako dziecka były to po prostu barwne jak tęcza obrazki, która ciocia, opowiadając, otwierała przed nami. Umiałam sobie wtedy wszystko bardzo dokładnie wyobrazić.

Jej historie zaczynały się zawsze od słów:

*Nu, Bettinalka, kiedyś wszystko było całkiem inaczej, rozumisz...*

Tak, tak, rozumiałam, albo przynajmniej chciałam rozumieć, jak to wszystko było - tak inaczej.

Ciocia Frieda i tak była, w fascynujący sposób, całkiem inna. Mówiła prawdziwym śląskim językiem, podczas gdy w naszej rodzinie już tylko akcent zdradzał nasze pochodzenie. Poza tym mówiło się czystym niemieckim. Uwielbiałam język cioci Friedy. I zawsze, kiedy o niej myślę, myślę *trochu* po śląsku.



Ciocia Frieda w czasie wieloletniej służby u *Państwa*, przyzwyczała się używać wielkopańskich tytułów. I za żadne skarby świata nie chciała się ich odzwyczaić.



Moją Mamę tytułowała, nawet w najnędniejszych warunkach barakowego życia, „Państwem”, „Frau Pastor”, a moją ciocię Lulu, nauczycielkę w szkole średniej, od momentu, gdy została awansowana na wyższy stopień nazywała „panią profesor”.

*„Może chce Frau Pastor jeszcze jednu fillizanku herbaty?”*

*„Pozwole sobie zapytać panią profesor...”*

Z naszych żartów z tych tytułów nic sobie nie robiła, śmiała się tylko i dalej mówiła po swojemu.

Ach tak! I jeszcze ta historia narodzin cioci Friedy, też inna niż wszystkie mi znane. Słuchałam ich często i chętnie, w kółko tych samych- historii jej narodzin i dzieciństwa w Sułowie jako „dziecka dominium”. Co to jest „dziecko dominium”? Nie każdy to wie, ale **ja** wiem, oczywiście od cioci Friedy.

W Sułowie był dwór hrabiowski. Taki, jakich wiele, bardzo wiele było na Śląsku i całym Wschodzie. Ten hrabia ze Sułowa mieszkał oczywiście w pałacu, pośrodku parku pełnego starych drzew i splątanych ścieżek. Park ten znałam nie tylko z opowieści cioci Friedy, sama go jeszcze pamiętałam. I do tych państwa hrabiów należała także ziemia, pola uprawne, tak zwane dominium ze sporą liczbą służących i robotników rolnych. Dziadkowie cioci Friedy mieszkali i pracowali w tym hrabiowskim dominium. Dziadek jako woźnica, odpowiedzialny był za stan wozów i powozów. Babcia była pomocą kuchenną i pokojową. Nie było wtedy ośmiogodzinnego dnia pracy, nie było urlopu, pracowało się tyle, ile było pracy- a tej nigdy nie brakowało. W słowniku nie było jeszcze pojęcia „czas wolny”. Trzeba sobie wyobrazić to zupełnie inaczej niż dzisiejsze stosunki pracownik- pracodawca. Kto pracował u hrabiego, należał duszą i ciałem do gospodarstwa hrabiego. Również rodzinnych spraw i problemów nie wolno było załatwiać bez pozwolenia hrabiowskiej rodziny. Pracownicy mieli zapewniony byt, ale żadnej wolności w podejmowaniu osobistych decyzji.

Dziadkowie cioci Friedy mieli jedną córkę. Jako młoda dziewczyna pracowała „na służbie”, jak to się wtedy mówiło, w pewnej znanej wrocławskiej rodzinie. Jako pomoc domowa była tak samo zależna od swoich państwa, jak jej dziadkowie od hrabiego. Mimo to, kto był na takiej służbie, cieszył się, że ją w ogóle ma.

*Była wtedy jeszcze bardzo młoda, Bettinalko. A potem stało się. Wzięła sobie wtedy u swoich Państwa we Wrocławiu dzień wolnego i pojechała do Sułowa. Oczu mało nie*

wyplakala. Czemu plakala? Nu, dzieciatko w brzuchu miala. Kto byl ojcem, tego nikomu zdradzic nie chciala. Nu, i to dzieciatko, to juz sie sama domyslasz, to ja bylam.

Szklace sie oczy i lekko zawstydzony chichot w gllosie cioci.

*Nu, coz poczac? Dziecka przecie wyrzucic sie nie godzi. I oddac tez nie chciala do przytulka. Ale dobrej sluzby we Wroclawiu tez rzucic nie mogla. Nie zostalo nic innego mojej mamie. Z dzieckiem nie mogla dalej na sluzbie zostac.*

I co wtedy? Matka plakala, a babka pomyslala praktycznie. No dobrze, jak juz tak sie stalo, postanowila z dziadkiem wychowac to dziecko. W koncu mieli maly domek przy bramie wjazdowej, naprzeciwko palacu, tam i dla dzieciatka znajdzie sie przeciez miejsce. Matka moglaby odwiedzac dziecko od czasu do czasu, jakoz to bedzie, nie bedzie sie przelewac, ale bedzie porzadnie.

Tak, ale by tak sie stalo, musial zostac podjety jeszcze jeden trudny krok. Dziadek musial isc do hrabiego po zgode na ten plan. Dziadek niechetnie szedl do niego. Bardzo sie wstydzil. Ale nic nie poradzil: babcia przeciagnela szczotka po jego butach az lsnily, z szafy wyjala najlepsza kurtka woznicy, te z nagimi guzikami na niebieskim tle, do rekci wcisnela mu jego niedzielna czapka i drzwi przed nim otworzyla:

*Nu, idze, glowy ci przecie nie urwie.*

Nie trwało długo, aż dziadek wrócił. Cały i zdrowy, ale ze spuszczoneym wzrokiem i cienkim głosem, dumna zwykle czapka bezwiednie dyndała mu w rękach.

*Nu??*

*Pan hrabia po prostu nie chce. Mówi, że tedy tak obowiązków naszych wypełniać nie będziem, jak będziem się dzieckiem zajmować.*

Dobrotliwa zwykle babka, kiedy trzeba było, potrafiła i wściekłość okazać i tak łatwo odprawić się nie dała.

*Ach tak, pan hrabia nie chce! A ty tak po prostu ogon pod siebie i pogonic sie dajesz. Co on sobie myśli, ten hrabia? I co ma być z tym dzieckiem? Czy ten hrabia nie jest ci chrześcijaninem? Jak tak, to musi rozumieć, że takie biedactwo bez ojca też jest dziecięciem bożym!*

I z powrotem wciskać dziadkowi niedzielna czapka do rekci.

*Idzże tam! Powiedz mu, że będziem pracować jak dawniej, ale dziecko wychowam. Niech wie o tym!*



I znów dziadek musiał do hrabiego iść na rozmowę. Drżąc- trochę ze strachu przed hrabią, trochę przed żoną, udał się ponownie do pałacu. Ale tym razem z twardym postanowieniem, że dopnie swego i pogada, że tak powiem, jak mężczyzna z mężczyzną.

Wyprostował się, zrobił odpowiednią minę, założył z powrotem czapkę i stanął przed hrabią. Jakimi słowami przekonał dziadek hrabiego, tego ciotki Friedzie nie przekazano, ale jedno jest pewne – udało się. Hrabia powiedział, że można spróbować, że się zobaczy. A dziadek wrócił do babki i córki z podniesioną głową, a potem była dodatkowa porcja pieczonych ziemniaków dla całej trójki. Babka i młoda mama już się *trochu* zastanawiały, gdzie można by postawić małe łóżeczko i skąd by tu wziąć rzeczy dla dziecka, żeby dużo nie kosztowały. Ale od tego byli sąsiedzi i znajomi, którzy przecież mogli pomóc.

Było takie śląskie powiedzenie, które babka mówiła śmiejąc się cicho:

*“Schickt der Herr a Häsle, dann schickt er auch a Gräsle”* („Ześle Pan zajączka, to ześle i trawkę”).

A zajączek urodził się 29 maja 1908 roku i stał się później naszą ciotką Friedą. Mała



Frieda dobrze miała u dziadków, którzy bardzo ją kochali. A nie przelewało się w domku przy bramie wjazdowej do dominium. Ale mieli za co się utrzymać, a mała Frieda miała dziadków i mamę, która ją od czasu do czasu przyjeżdżała odwiedzić z Wrocławia.

Na stoliku nocnym ciotki Friedy stało przez te wszystkie późniejsze lata w ramce takie małe zdjęcie dziadków siedzących na ławce. Obrazek z czasów jak z książkowych bajek, z całym bajkowym cierpieniem i całą bajkową radością. Ale jednak nie był z bajki, bo ciotkę Friedę, która to wszystko przeżyła, widziałam zawsze żywą przed sobą. Ale Kopciuszek o imieniu Frieda nie został królową w pałacu, lecz stał się błogosławieństwem dla wielu ludzi. I może to jest właśnie najlepsza wersja bajki z prawdziwego życia.

Sułowskie dzieci dominium tworzyły specyficzną grupę, inną od tzw. dzieci miejskich. Chodziły nawet do innej szkoły, do jednoklasowej szkoły wiejskiej w sąsiednich Miłosławicach- każdego dnia kilka kilometrów na pieszo w tę i z powrotem. Dlaczego nie wolno im było chodzić z innymi wiejskimi dziećmi do

szkoły w Sułowie, o to niestety nie zapytałam cioci Friedy.

Zimą kiepskie obuwie tych dzieci było mokre i zimne, zanim jeszcze w ogóle doszły do szkoły. Ale któregoś dnia dobrotliwa hrabina - matka zafundowała dzieciom filcowe pantofle, które dzieci zostawiały w szkole i tylko tam je nosiły. Powodem zakupu były zbyt często zachorowania wśród uczniów.

Cioci Friedzie nauka w szkole nie przychodziła zbyt łatwo, dlatego nie raz musiała wytrzymać uderzenia kijkiem po rękach wymierzane przez nauczyciela. Ku mojemu zdziwieniu uważała to jednak za normalne.

*Nu, Bettinalko, muszę powiedzieć, że nauka nie przychodziła mi tak łatwo jak wam. Ale śpiewać to ja zawsze umiała!*

Opowiadała o tym wszystkim z lekko zawstydzonym chichotem, bez goryczy dziecka doświadczonego cierpieniem przez los. Nieee, gorycz była obcym słowem w życiu cioci Friedy. Smutek czasem można było wyczuć w jej głosie lub dostrzec w jej oczach, ale zgorzkniała nie była nigdy. Nawet wtedy, gdy opowiadała o Bożym Narodzeniu organizowanym w pałacu dla dzieci z dominium. Były wtedy prawdziwe podarki. Oprócz kilku pierniczków, dzieci dostawały coś praktycznego, np. chłopcy dostawali parę skarpet, a dziewczynki po fartuszkach. Mała Frieda była zawsze we wszystkim ostatnia, także przy rozdawaniu prezentów. Była przecież tym dzieckiem bez ojca, *ino takie biedactwo bez czci*.

Ale jednak, Frieda też dostawała fartuszek, a babcia w Boże Narodzenie szczególnie okazywała jej, że była dzieckiem kochanym i upragnionym. Wtedy w małym domku przygotowywano cudowne święta, z tymi wszystkimi wspaniałymi zapachami, z kapustą kiszoną, sosem na piwie i karpem.

O tak, też je znałam, ponieważ później i u nas w domu ciocia Frieda roztaczała te zapachy w wigilijny wieczór. I te bożonarodzeniowe zapachy przetrwały ciocię Friedę, towarzysząc mi przez wszystkie etapy mojego życia, aż po dzień dzisiejszy, gdy sama je wyczarowuję.

Mała Frieda dostała w prezencie ładny, ciepły sweterek- zrobiony na drutach przez babcie. A dziadek zrobił jej sam mały wóz konny.

Twarz cioci Friedy jaśniała, kiedy tak opowiadała o swoim dzieciństwie. A ja, ja cieszyłam się razem z nią, choć czasem ogarniała mnie wielka złość za to, że ciocia zawsze we wszystkim była na końcu.

Paraliż cioci Friedy postępował z roku na rok coraz bardziej. Trzeba było się nią opiekować, a ona sama nie mogła już opiekować się innymi. Najpierw była pomocą mojej Mamy, później sama tej pomocy potrzebowała. Wyprowadziła się z domu mojej mamy do domu cioci Lulu i babci, z Kaiserwerth do Ratingen. Lata mijały, zmarła Babcia, później mieszkała tam też ciocia Dora. Po śmierci Mamy przeprowadziłam się z braćmi do naszych ciotek i tam spędziliśmy nasze ostatnie szkolne lata. I znów mieszkaliśmy pod jednym dachem z ciocią Friedą. Wózek inwalidzki cioci Friedy był przez dziesięciolecia nieodłącznym elementem wyposażenia domu naszych ciotek. Tak to wtedy było- wszystko jakoś zostało w powiększonej rodzinie, byliśmy zdani na siebie nawzajem. Ciocię Friedę też oczywiście w to włączając. Istota cioci Friedy polegała w końcu na tym by być- dla nas wszystkich. Jakie to było fajne! Zawsze była z nami, opowiadała albo kazała sobie opowiadać i śmiała się przy tym radośnie aż się trzęsły jej zgarbione plecy. Nigdy nie wtrącała się do żadnej rodzinnej kłótni, choć z pewnością, w ciasnocie naszego mieszkania w Ratingen, musiała odczuć na własnej skórze wszelkie mniejsze lub większe spory. Myślę, że każdy z nas stał jakby pod jej ochronnym parasolem jej życzliwości niezależnie od tego, którą akurat braliśmy stronę. Zawsze tak to odczuwałam i było to kojące uczucie. Nie trzeba było „mieć racji”, żeby być lubianym przez ciocię Friedę.



W późniejszych latach, gdy Hans i ja z córkami regularnie jeździliśmy do Sułowa, ciocia Frieda była już tylko zgarbioną starowinką, rzadko siedziała w wózku, zwykle już tylko leżała w łóżku wsparta o poduszki. I wtedy wołała nas do siebie, kiedy przyjeżdżaliśmy w odwiedziny.

*Nu, chodźcież bliżej i opowiedzcież trochu o Sułowie. Ja już tam nie pojedę. Ni szkodzi. Ale chętnie posłucham, jak wy mi poopowiadacie.*

A potem pokazywaliśmy jej zdjęcia. Nie, domku woźnicy już tam nie ma. Ale pałac stoi nadal i ten duży budynek gospodarczy naprzeciwko też.

*A lipa, Bettinalko, lipa stoi? Wiesz, ta na prawo od bramy. Nie, nie od tej bramy, od tej drugiej...*

Tak, rosną tam lipy, ale czy jest tam akurat ta lipa, o której myślała ciocia Frieda, tego nigdy nie byliśmy w stanie powiedzieć.

Ciocia Frieda dożyła 79 lat. Połowa jej życia była ciężko naznaczona paraliżem. Pozostała w naszej rodzinie aż do swojej śmierci w 1987 roku. Ciocia Dora długo, długo i bardzo troskliwie się nią opiekowała (Kochana ciocia Dora, świeć Panie nad jej duszą! Napiszę Ci Ciociu za to kiedyś osobną historię!).



My, dzieci różnych rozgałęzień naszej rodziny, dorośliśmy i zabieraliśmy swoje dzieci w odwiedziny do ciotek. Ciocia Frieda siedziała tam tak jak zawsze, a dzieci



podchodziły do niej. Była takim niezawodnym punktem oparcia dla maluchów- nie taka duża i wyprostowana jak inni dorośli. Ciocia Frieda po prostu była- zawsze. Co za wspaniałe, kojące uczucie dla tylu dzieci z różnych pokoleń- dorosła osoba, który nie odchodziła, która nie była ciągle zaganiana, która, jak to sama określała „nie robiła wiele z dziećmi”, ale czułym głosem mówiła proste rzeczy.

*Nu, Bettinalko, jak tam było? Pokaż no Monalko... Noo, tuś jest Julianko... Nu, Eddi, przynieś mi swojego misia...*

Życzę mojej cioci Friedzie z całego serca, by jej prosta, radosna i pełna ufności wiara otworzyła jej niebo na całą wieczność, by mogła spoglądać na nas z góry i towarzyszyć nam swoją życzliwością i śląskim dialektem. Chciałabym, by mnie usłyszała, gdy wołam do niej głosem pełnym miłości:

*Dziękuję, ciociu Friedo!*

*Pracze, grudzień 2013*

*Bettina Harnischfeger - tłumaczenie Marta Bednarz*